

Kilka lat temu firma Adidas zalała rynek spotami, w których sławni sportowcy opowiadali o przeszkodach, jakie stanęły na ich drodze ku wielkości i chwale. Przeszkody udało się jednak zlikwidować, co pchnęło sportsmenów do radosnej refleksji - „Impossible is nothing”. Czy aby na pewno?

Rok 2008, Chicago. Tłum szczęśliwych ludzi, zwłaszcza Afroamerykanów, pada sobie w objęcia, a w wibrującym od radości powietrzu pobrzmiwa nieustannie nazwisko pierwszego czarnoskórego prezydenta w historii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Chicago jest dumne ze swojego wychowanka. Ameryka jest dumna z samej siebie. Barack Obama myśli zapewne, że skoro osiągnął zwycięstwo tutaj, w sercu świata, w kraju, który jest ucieleśnieniem marzeń tysięcy innych ludzi – to wygrałby też w każdym innym miejscu. Nie mam pewności, czy taka idea pojawiła się w głowie nowego prezydenta, ale jeśli okazałoby się to prawdą, Barack Obama musiałby przyznać się do pomyłki. Wieść niesie, że pośrodku Starego Kontynentu istnieje państwo, gdzie zwycięstwo Obamy w wyborach prezydenckich jest równie prawdopodobne jak znalezienie w owym kraju sprawnie działającej komunikacji miejskiej. Czyli bliskie zera.

Witamy w Polsce, panie demokrato!

Zgodnie z Konstytucją RP prezydent wyłaniany jest w wyborach powszechnych, a więc zupełnie inaczej niż w Stanach, gdzie z powodzeniem zaadaptowano model prezydencki. Niby nic, a jednak dostrzegam tu pierwszą pułapkę, w którą mógłby zaplątać się nieświadomy zagrożenia idealista zza Atlantyku, mianowicie – przeświadczenie, że skoro naród ma głos decydujący, to z narodem trzeba się dogadać. Dogadać się, owszem, trzeba, ale z kierownictwem określonego ugrupowania politycznego, ponieważ w Polsce o porażce lub ewentualnej wygranej decydują partyjne barwy. Wyborców nad Wisłą niespecjalnie interesują kompetencje kandydata na prezydenta, a jego poglądy w sprawach gospodarki, oświaty oraz innych egzotycznych dziedzin życia, wyciągniętych z szuflad na potrzeby kampanii wyborczej, są z reguły tożsame z programem partii, czyli powszechnie znane i niewzbudzające większych emocji. Liczy się więc nie to kim jestem, ale – z kim. Ową maksymę sprowadzić można do staropolskiego podziału na „nas” oraz „nich”, przy czym przynależność do owych grup jest dość umowna, ponieważ tak naprawdę każdy, w zależności od punktu widzenia, należy tak do jednego, jak i drugiego zbioru. Siła napędowa polskiego elektoratu zależy więc w dużej mierze od stopnia nienawiści i zacietrzewienia na linii rząd – opozycja. Myśląc poważnie o wygranej Barack Obama zostałaby zmuszony do zasilenia partyjnych szeregów któregoś z ugrupowań. I tutaj dopiero zaczynają się schody.

Lewica? To nie u nas.

Jako prezydent, który sięgnął po stanowisko z ramienia demokratów Obama w pierwszym odruchu zastukałby zapewne do drzwi SLD. Choć nie, metafora ze skromnym skrobaniem do drzwi jest nietrafiona. Należałoby raczej napisać – Obama zostałaby wciągnięty siłą przed kamery i przedstawiony hucznie jako najlepszy przyjaciel przewodniczącego Sojuszu w sposób tak sprytny, że co mniej spostrzegawczy nie zorientowałby się, o czyją promocję tak naprawdę chodzi. Lewica jest w Polsce słaba – brak pomysłu na politykę wewnętrzną oraz wciąż żywą w społecznej świadomości łatkę „postkomunistów”, stara się przykryć hasłami równości i sprawiedliwości. Okazjonalne tupnięcie nogą na Kościół jak i – o ironio! - zakamuflowana homofobia części działaczy SLD zapewne nie zyskałaby aprobaty Obamy, ale nie są to czynniki, które skazywałyby Sojusz na porażkę w jego oczach. Wszak

warto pamiętać, że laureat Pokojowej Nagrody Nobla sam podpadł lewemu skrzydłu Partii Demokratycznej, nie tylko z powodu odkładania decyzji o zamknięciu więzienia w Guantanamo, ale też w wyniku przedłużenia ulg podatkowych dla bogaczy¹. Takie kompromisowe rozwiązania, których esencją jest reforma ochrony zdrowia, przepchnięta przez Kongres bez udziału republikanów, zbliża Obamę bardziej do Platformy i prowadzonej przez partię „PMK” (Polityki Małych Kroków). Jest to ugrupowanie, w którym obywatel multikulturowej Ameryki czułby się zapewne niczym ryba w wodzie. Mimo deklarowanego liberalizmu Platforma przygarnęła przecież posła Gowina, ale – co udowodnił niedawny transfer z lewej „strony” - nie samym konserwatyzmem partia żyje, o nie. Zwłaszcza w gorącym okresie przedwyborczym. Miałyby zatem Obama ciężki orzech do zgryzienia: SLD czy PO? Uważny czytelnik mógłby powiedzieć, że w tej wyliczance, tyleż konsekwentnie, co złośliwie, pomijana jest największa nad Wisłą partia opozycyjna. Owszem, ugrupowanie zostało pominięte, ale na zasadzie zdroworozsądkowych kalkulacji, a nie – emocji. PiS jest bowiem partią wodzowską, w której namaszczeniem na kandydata w wyścigu o prezydencki fotel poszczycić może się tylko i wyłącznie jeden człowiek. Tak, tak. W osobie pana Kaczyńskiego dostrzec można jednakże wspólną cechę wszystkich partyjnych liderów – niechęć do dzielenia władzy. Co prawda kompetencje głowy państwa w modelu parlamentarno – gabinetowym są znacznie mniejsze niż w modelu prezydenckim, ale instytucja „weta”, czy inicjatywy ustawodawczej, które przysługują polskiemu prezydentowi, mogą stać się dla ekipy rządzącej przysłowiowym piątym kołem u wozu. Bezpieczniej jest zatem wystawić kandydata wiernego, a zarazem – nie przejawiającego zbyt dużych ambicji. Obamie zarzucić można dużo, ale jako człowiek emanujący dyscypliną oraz intelektem, byłby zapewne prezydentem niezwykle dla rządu niewygodnym. Innymi słowy – zgody na start w wyborach w barwach partyjnych nie ma.

Civil society – z czym się to je?

Odrzucony przez największych rozgrywających w polskiej polityce – po wcześniejszym odrzuceniu propozycji graczy nieco mniejszego kalibru, kuszących zapewne gumowymi penisami – Barack Obama musiałby zwrócić się o pomoc do polskiego społeczeństwa. Pomysł trąca abstrakcją – dlatego został przeze mnie odrzucony już we wstępie – ale teraz widzę, że był to błąd. Prawda – nie jesteśmy społeczeństwem obywatelskim, ale społeczeństwem sobkowatym, które rezygnuje z prywatnych spraw tylko w chwilach podniosłych². Historia pokazuje jednak, że trend można odwrócić, czego żywym przykładem był Stanisław Tymiński. Być może gdyby Obama znalazł drugą „czarną teczkę”, mógłby liczyć nie tylko na 100 tys. podpisów legitymizujących start, ale także na zwycięstwo? Być może, ale należałoby zmienić znaczenie owej „czarnej teczki” i przemianować ją z symbolu niespełnionej groźby na czynnik pobudzający Polki i Polaków. Jak to zrobić, skoro naród widział już wszystko – od martyrologii, przez charyzmę, aż do bezpłciowych i wyświechtanych sloganów?

Czwarta władza wkracza na scenę.

Ano jest jeden sposób – pobudzenie społeczeństwa za pomocą mediów. Co prawda w Polsce, inaczej niż w demokracji na modłę zachodnią, mass media nie są tubą, przez którą społeczeństwo obywatelskie wykrzykuje istotne postulaty, a raczej instytucją, która kształtuje „ciemny lud” - ale kto by się czepiał o szczegóły? Jeśli założymy, że debata publiczna to dyskusja, jaką elity toczą między sobą, a liderami w kształtowaniu opinii publicznej są Adam Michnik i Jarosław Kaczyński³, i jeśli dodamy do tego polskiego bigosu Baracka Obamę, to dojdziemy do wniosków szokujących. Środowisko „Gazety Wyborczej”, określanej mianem niepatriotycznej, kosmopolitycznej, ale też dość ekstrawaganckiej w wydawanych opiniach oraz postępowej, zapewne przyklasnęłaby kandydaturze Obamy, widząc w nim nowego prezydenta. Jako że debata w Polsce opiera się na

katastroficznym wyobrażeniach oraz niemal metafizycznym niepokojem⁴, wydaje się, że odpowiedź prawicy, pełna bojaźni Bożej przed Obamą, byłaby jak najbardziej oczekiwana. Ale czy taka odpowiedź miałaby miejsce? Nie jest to wcale pewne. W książce „Rykoszetem. Rzecz o płci, seksualności i narodzie” Agnieszka Graff pokusiła się o analizę okładek czołowych polskich tygodników w roku przystąpienia naszego kraju do Unii Europejskiej. Przekaz jest jasny – prawica dostrzega w USA „ostoję tradycjonalizmu i dobrobytu”, gdzie „większość liderów wychowuje się w wielodzietnych rodzinach”⁵, co daje Stanom przewagę nad zniewieściałą Europą, propagującą takie obrzydliwa jak homoseksualizm. Sojusz z USA jest w stanie uratować Polskę przed schorowaną i zboczoną Unią. Czy trafi się kiedyś lepsza szansa na scementowanie więzi z mocarstwem zza Atlantyku niż osadzenie Amerykanina za sterami biednej, narażonej na sztormy polskiej barki? Takie ukazanie sprawy mogłoby doprowadzić do sytuacji, w której Barack Obama zyskałby aprobatę mediów z lewa i prawa. Historia ta ma więc dwa alternatywne zakończenia. Pierwsze jest dość pesymistyczne – społeczeństwo nienawykłe do konsensusu dochodzi do wniosku, że znów robi się je w balona i bojkotuje wybory. Drugie, całkowicie bezprecedensowe – Polki i Polacy zmotywowani jednomyślnością elit, ruszają szturmem do urn, a prezydentem zostaje czarnoskóry (niezwykle istotny w Polsce szczegół) Barack Obama, wprawiając świat w osłupienie. Trudno stwierdzić z całą pewnością, które rozwiązanie jest bardziej niedorzeczne.

Yes, he can but...

Wieść niesie, że pośrodku Starego Kontynentu istnieje państwo, gdzie zwycięstwo Baracka Obamy w wyborach prezydenckich jest równie prawdopodobne jak znalezienie w owym kraju sprawnie działającej komunikacji miejskiej. Czyli bliskie zera. Jednak nawet tutaj uda się czasem przejechać bez problemów, ba, nawet z pewną przyjemnością, z jednego końca miasta na drugi. Zaryzykuję więc stwierdzenie, że tak – mimo niezliczonych ilości przeszkód, przetykanych tu i ówdzie niedorzecznościami – Barack Obama mógłby stanąć na czele polskiego państwa.

Ale czy chciałby?

¹Tomasz Zalewski, *Ile siły na zamiary?*, Polityka, Nr 22, str. 44.

²*Spółeczeństwo sobków*. Rozmowa z prof. Antonim Sułkiem, www.polskieradio.pl

³Robert Krasowski, *Piszą i dzielą*, Polityka, Nr 22, str. 26-27.

⁴Tamże.

⁵Agnieszka Graff, *Rykoszetem. Rzecz o płci, seksualności i narodzie*, Warszawa 2008, str.95.